

Wywiad



Choć jej pasją i zawodem jest śpiew operowy, w niczym nie przypomina stereotypowej, wyniosłej diwy. Ma za to ogromne poczucie humoru i dystans do tego, co robi, i siebie samej. Najbardziej znany mezzosopran w Polsce – Alicja Węgorzewska-Whiskerd.

Głos to niesamowity instrument



Foto: Archiwum Alicji Węgorzewskiej-Whiskerd

Na początku Pani przygody z muzyką był fortepian. Wydawało się, że to on jest dla Pani stworzony i że zostanie Pani sławną pianistką. Mimo fascynacji instrumentem, śpiew przebił wszystko...

Fortepian to była miłość od pierwszego wejrzenia. Bardzo chciałam, żeby i on się we mnie zakochał. Tak się nie stało, aczkolwiek, z perspektywy czasu, myślę, że był cudowną podporą, wsparciem, podstawą. Swego rodzaju fundamentem do całej reszty, która się stała w moim życiu. Fortepian jest bardzo ciekawym i bogatym instrumentem, natomiast są to struny i pudło zewnętrzne. Kiedy zaczęłam śpiewać, chodząc na chór – obowiązkowy dla pianistów, zobaczyłam, jak niesamowitym i niepowtarzalnym instrumentem jest głos ludzki. Dostrzegłam, jak trudno go wydobyć w sposób prawidłowy. Jak trudno jest pokazać grę na tym instrumencie. Proszę zauważyć, że jest to jedyny instrument, do którego nie można zajrzeć. W związku z tym, nie można pokazać sposobu gry. Trzeba uruchomić w drugim człowieku wyobraźnię i estetykę, która doprowadzi do tego, że technika będzie pomagać, że będzie prawidłowa, a śpiew będzie pięknym.



ny. A sama barwa jest dana od Boga, i to też jest pewien dar. Dlatego warto obchodzić się z nim delikatnie. Lepiej dłużej docierać do efektu końcowego, natomiast mieć pełną świadomość sposobu i używania głosu. Tych strun nie da się, niestety wymienić, jak w skrzypcach czy fortepianie.

Postawiła Pani na śpiew, poświęcając się mu bez reszty. Jednak w Polsce chyba nie do końca się na Pani poznało. Zupełnie odwrotnie niż w Wiedniu, gdzie Pani debiutowała.

To chyba dość typowe dla Polski, że wciąż chwalimy i wynosimy pod

niebiosa to, co obce, a nie mamy systemu promocji młodych ludzi. Sztuka operowa nie jest wysoko ceniona, nie mamy wykształconej publiczności, a to kończy się tym, że teatrów jest mało. Zwiększa się za to podaż młodych artystów, którzy kończą studia i, zwyczajnie, nie mają gdzie uprawiać swojego zawodu, bo teatry wszelkimi sposobami bronią się przed młodym, zdolnym narybkiem. Myślę, że ten mechanizm do dziś funkcjonuje w świetny sposób.

Dlaczego tak się dzieje?

Dlatego, że status quo jest dla tych ludzi najważniejsze. Ci, którzy są w teatrach latami – nawet jeśli są gorsi, muszą chronić swoje zawody i siebie, by móc je uprawiać. Dlatego bronią się przed młodością. Pytanie, co się stanie, kiedy stara gwardia odejdzie? Kto ich wtedy zastąpi? Kto zastąpi publiczność w sali operowej lub filharmonicznej? Rośnie nowe pokolenie z iPodami i słuchawkami na uszach. Nie wychowując tych ludzi, nie rozwijając ich estetyki mu-

Wywiad

zycznej, możemy doprowadzić do sytuacji, kiedy ani teatry, ani opery nie będą nam już potrzebne, bo widzów też nie będzie. Łatwiej jest ściągnąć plik mp3 z Internetu, niż zapłacić za bilet, idąc choćby do filharmonii, ale takie myślenie jest zgubne.

Myślę, że warto pójść do opery choćby po to, by zobaczyć, jak odgrywa się rolę „spodenkowe” czyli takie, gdzie kobietą wciela się w rolę mężczyzny. Pani też ma je w swoim dorobku, choć jest kwintesencją kobiecości. Jak to jest, kiedy nagle trzeba przedzierzgnąć się w faceta? To wyzwanie czy dyskomfort?

W pewnym okresie była to po prostu taka estetyka, że kobiety odgrywały role obydwu płci. To dość normalne, że w takich rolach mezzosoprany grają mężczyzn – dlatego, że są wysokie. Żeby dobrze wczuć się w klimat, uczyłam się chodzić, mówić i poruszać jak mężczyzna. Dużą rolę odgrywała charakterystyka i kostium, choć wiadomo, że z gardła wydobywał się głos kobiety. Grywałam takie role, jednak, kiedy moja mama powiedziała, że mnie nie poznała, bo akurat miałam przyklejoną jakąś łysą glacę, a na niej perukę z łysiną na samym środku głowy, stwierdziłam, że chyba czas najwyższy, by przestać. Dzisiaj do takich ról ciągnie mnie zdecydowanie mniej, bo rzeczywiście – czuję się kobietą. O tym, że opera jest transseksualna, opowiadam także w moim monodramie „DIVA FOR RENT – Diva do wynajęcia”. Kobiety grają mężczyzn, którzy... przebierają się za kobiety – jak choćby w „Kawalerze srebrnej



róży”. Jako faceci, obłapiają sopranistki, które są molestowane przez facetów, którzy myślą, że to kobieta przebrana za faceta, który jest przecież kobietą... Niektóre historie są mocno zawile i naprawdę, można dostać schizofrenii. Do tego stopnia, że na koniec przedstawienia człowiek sprawdza, czy ma wszystko na swoim miejscu (śmiech).

Przejdźmy do czegoś mniej skomplikowanego (śmiech). Jaka opera, w której Pani występuje lub występowała, jest Pani ulubioną? W jaką postać lubi się Pani wcielać najbardziej i dlaczego?

Oczywiście, wszyscy pewnie myślą, że to „Carmen”, bo grałam w tyłu produk-

cjach, a nawet jedną wyreżyserowałam – ale nie. Najpiękniejszą rolą, jaką do tej pory śpiewałam, jest dla mnie rola biednej, zdradzanej żony w „Cavalleria Rusticana” Mascagniego. Jest tam tak poruszająca muzyka, że chyba wolę ją, niż tę wredną Carmen.

Skoro już jesteśmy w okolicach sceny – czy podczas występu zdarzyło się Pani coś, czego się absolutnie nie spodziewała? Jeśli tak, co to była za sytuacja?

Pamiętam wiele sytuacji zabawnych. Udało mi się „ugotować” na scenie kilku kolegów. Jednemu z nich, zamiast soku jabłkowego, nalałam podczas przedstawienia piwa. Kiedy zaczął pić, aż się zachłusnął. Był zszokowany, że dostał taki niecodzienny napój. Ale były też momenty mrozące krew w żyłach, jak na przykład upadek ze sceny na koncercie sylwestrowym Polsatu, kiedy nagle wylądowałam na torach kamerowych pod sceną. Na szczęście trzysekundowe opóźnienie w emisji obrazu pozwoliło na szybką reakcję kamerzystów, którzy zmienili ujęcie, by nie pokazywać upadłej śpiewaczki. W takich sytuacjach jest ten moment adrenaliny, kiedy człowiek wie, że jest na live, w telewizji, że trzeba się pozbierać i dotrzeć do końca. Show must go on.

Rozmawiał: **Paweł Kawalek**